Dodatek do Nr. 216 „Głosu Narodu".

Kraków, 13. sierpnia 1933 r. I.

GŁOS LITERACKO - NAUKOWY

wychodzi w niedzielę jako bezpłatny dodatek „GŁOSU NARODU"

Trzynaście lat temu...

Trzynaście lat mija od zwycięstwa nazwanego w legendzie narodowej „Cudem nad Wisłą". Porwani wirem toczących się nieraz błyskawicznie wypadków oddalamy się z każdym rokiem szybciej od pamiętnych godzin.

Trzeba jednak corocznie oglądać się w tył, aby ocenić znaczenie tych kilku sierpniowych dni roku 1920, aby zaczerpnąć z nich mądrości i doświadczenia na dzień dzisiejszy. Potrzebne jest to też na to, aby powoli z chaosu sprzeczności wytwarzać w świadomości narodu prawdę historyczną roku 1920.

I wydaje się nam nie od rzeczy przytoczyć kilka wyjątków z relacyi tych, którzy w owym czasie byli wyniesieni przez bieg wypadków na odpowiedzialne stanowiska i stali się głównymi aktorami rozgrywającego się dramatu. Na te znane już i kiedyindziej omówione relacje dobrze jest spoglądnąć z perspektywy trzynastu lat, okiem obserwatora może niezbyt jeszcze odległego, ale umożliwiającego bardziej objektywny, spokojny osąd.

* * *

J. Piłsudski: Rok 1920 (wyd. II) str. 154. „W tej męce trwożliwej nie mogłem sobie najwięcej dać rady z nonsensami założenia dla bitwy, nonsensem pasywności dla gros moich sił, zebranych w Warszawie. Kontratak zdaniem mojem z Warszawy i Modlina prowadzony być nie mógł. Wszędzie uderza on frontalnie na przeciwnika, na jego główne siły, w całości, jak mi się zdawało, ściągane ku Warszawie, a dotąd ani wojska, ani dowódcy nasi rady ze zwycięskim nieprzyjacielem dać sobie nie mogli".

Str. 156: „Nie mogłem się zdobyć ani na zaufanie do sił moralnych wojska i mieszkańców stolicy, ani na pewność dowódców jednych i drugich. — Ten nonsens założenia męczył mię tak niezmiernie, że doprawdy niekiedy wydawało mi się, że ze wszystkich kątów coś chichocze i kpi zemnie, gdy nonsens i wyraźną głupotę biorę za podstawę mojej rachuby czy mojej decyzji... Bezsilność, gdym przemyśliwał o konieczności inicjatywy, pluła mi wprost w twarz, gdym zaczynał przerabiać rachunek. Rachunek ten od razu mi się nie kleił... (str. 157) Wszelkie próby dawały nicość siły — nonsens założenia, bezrozum bezsilności lub nadmiar ryzyka, przed którym logika się cofała. Wszystko wyglądało mi w czarnych kolorach i beznadziejnie".

Str. 149: (O gen. Rozwadowskim) „Nie tracił nigdy sprężystości ducha, energji i siły moralnej: chciał wierzyć w nasze zwycięstwo, gdy wielu, bardzo wielu traciło już ufność i, jeśli pracowało, to ze złamanym charakterem".

* * *

Str. 132. „Państwo trzeszczało, wysiłki wojsk rozdrabniały się w odruchach, a praca dowodzenia z dniem każdym była trudniejsza i cięższa moralnie. Niechybnie wśród powodzi trwogi, bezwładu i bezsilności, były próby zorganizowania elementu walki i elementu siły, lecz nie trzeba ich historycznie przeceniać. Nie miały one wcale żywiołowej potęgi i mocy, a osłabione były krzykactwem i nadmiarem bezładu organizacyjnego. Dla krzykactwa rzucono hasło nonsensowne nowej armji ochotniczej, armji, w której przedewszystkiem wyrastały w nonsensie organizacyjnym liczne sztaby, przepełnione nowemi prowenistami. Zdołałem zatrzymać ten nonsens..."

M. Tuchaczewski: „Pochód za Wisłę" wykłady w Akademji Wojsk. R. K. K. A. w Moskwie — str. 272. „Wreszcie pojawiły się formacje trzeciej linji, tak zwane ochotnicze. Te formacje, bez względu na swą młodość i brak wyszkolenia, miały dostateczne zalety bojowe, ponieważ przeważnie kompletowały się z elementów inteligentnych i burżuazyjnych, które, pojmując, że los ich stawia się na kartę, zdradzały wielkie zdecydowanie i upór".

* * *

J. Piłsudski: str. 152. „Lecz przy decyzji, którą miałem powziąć, gdy nie szło już o zmianę personalną, musiało się zmienić dużo w organizacji dowodzenia i rozgraniczeniu zadań. Te dwa ciężary, o których nie dyskutowano, leżały bezpośrednio na mnie, a pierwszy z nich był ciężarem wprost przygniatającym, na dnie bowiem jego leżał jakgdyby mus nonsensu strategji, nonsensu rozumu. Z ciężarem tym najwięcej miałem do czynienia, gdym wieczorem 5 sierpnia i w nocy na 6-ty nie na jakiejś naradzie, lecz w samotnym pokoju w Belwederze, przepracowywał siebie samego dla wydobycia decyzji... (str. 158) Zestawiwszy po kilka razy wszystkie próby rachunku, zdecydowałem dwie rzeczy: wycofać ku południowi większą część naszej 4-tej armji i zaryzykować osłonę południową, wyciągając z niej dwie dywizje, które uważałem za najlepsze 1-ą i 3-ą legionowe. Następnie ostatecznie postanowiłem, że kontratak poprowadzę sam, chociaż z góry w ten sposób przesądzałem, że wprowadzam wskutek tego bezwład w dowodzeniu, gdy biorę może na czas dłuższy dowodzenie bezpośrednie małej zaledwie części wojsk, których byłem naczelnym wodzem. (str. 159) Gdy 6-go rano zameldował się u mnie po rozkazy gen. Rozwadowski, wszedł do mego gabinetu ze szkicem, jako jeszcze jedną propozycją, czy kombinacją...

...Odrzuciłem odrazu ten projekt..."

Generał Rozwadowski, Kraków 1929, str. 87. „Przegrupowanie wojsk stosownie do planu opracowanego pod względem strategicznym przez gen. Rozwadowskiego, a pod względem administracyjnym przez gen. Sosnkowskiego, odbywało się szybko: bywały tarcia naturalnie, ale każdy niższy dowódca, czy komendant, starał się je usunąć, bo wiedział, że chodzi tu o byt ojczyzny. W nocy z 5 na 6-go sierpnia zjawili się generałowie: Rozwadowski i Sosnkowski u Naczelnego Wodza, by mu przedłożyć plan operacyjny do zatwierdzenia. Po długiej, ożywionej dyskusji Naczelny Wódz zatwierdził plan generała Rozwadowskiego w rannych godzinach dnia 6-go sierpnia, przyjmując tem samem pełną odpowiedzialność. Decyzja zamienia myśl w czyn i staje się dziejotwórczą. Istotą tego planu był wielki manewr zaczepny. (str. 89) Dnia 6 sierpnia wychodzi „Rozkaz do przegrupowania" zasadnicza dyrektywa operacyjna bitwy warszawskiej, podpisana przez gen. Rozwadowskiego... (str. 88) Gen. Rozwadowski w wykonaniu planu zaakceptowanego przez Naczelnego Wodza zerwał gwałtownym odskokiem kontakt bojowy z nieprzyjacielem, był to manewr odwrotny; by potem wykonać manewr zaczepny. Odwrót ten dał wojskom nietylko wypoczynek przed walną rozprawą, ale też i możność swobodnego przegrupowania się. Nowość tego manewru, dotychczas nigdy w tej wojnie nie stosowanego, to jeden dowód więcej, że właśnie nikt inny, tylko gen. Rozwadowski, tak niedawno operacjami kierujący, był duchownym inspiratorem tego posunięcia".

* * *

J. Piłsudski: str. 165. „Po załatwieniu tych spraw 12-go wieczorem wyjechałem z Warszawy. Wyjeżdżałem pełen poczucia nonsensu i nawet pewnego wstrętu do siebie, że dla tchórzostwa i niemocy polskiej musiałem zaprzeczyć wszelkiej logice i wszelkim zdrowym prawom wojny. ...(str. 171) Dnia 16-go rozpocząłem atak, o ile wogóle atakiem nazwać to można. Lekki a bardzo łatwy bój prowadziła przy wyjściu tylko 21-a dywizja... Inne dywizje szły prawie bez kontaktu z nieprzyjacielem, gdyż nieznacznych potyczek w tem czy innem miejscu z jakiemiś małemi grupkami, które natychmiast po zetknięciu się z niemi rozpraszały się i uciekały, kontaktem nazwać bym się nie ośmielił. Cały dzień spędziłem w samochodzie głównie przy 14-tej lewoskrzydłowej dywizji, zbierając ciągle dane i wrażenia swoje oraz mych podwładnych. Nie mogę nic powiedzieć, że tego dnia wieczorem, gdy wszystkie już dywizje przebiegły po dobrych trzydziestu kilka kilometrach ku północy była tajemnica t. zw. mozyrskiej grupy. ...Wydawało mi się, że śnię. Jako wynik, do którego doszedłem, był pogląd, że czeka mnie gdzieś jakaś zasadzka... (str. 172) Dzień 17 sierpnia nie przyniósł mi żadnego wyjaśnienia tych zagadek. Szukałem go teraz na prawem skrzydle. Spędziłem znowu dzień cały w samochodzie, szukając śladów tajemnicy i choć pozoru zasadzek. Dobrze popołudniu zastałem w Łukowie dowódcę 21-szej dywizji wraz z jego sztabem, festynującego wesoło po tak wspaniałym marszu. Gdy dowódcy brygad i niektórych pułków mnie otoczyli przy stole, wszyscy w jeden głos twierdzili, że właściwie nieprzyjaciela niema... (str. 173) Nie rozumiałem właściwie, gdzie jest sen, a gdzie prawda... Pomimo iż sen mógł być radosny, nie mógł się wydawać wtedy realnym. Miesiąc cały sugestji, sugestji przemocy, nie chciał mijać. Sen radości nie mógł być realnym. Pod temi wrażeniami przyjechałem wieczorem do Garwolina. Pamiętam, jak dziś tę chwilę, gdy pijąc herbatę obok przygotowanego do snu łóżka, zerwałem się na równe nogi, gdym wreszcie usłyszał odgłos życia, odgłos realności, słuchy grzmot armat, dolatujący gdzieś z północy. Więc nieprzyjaciel jest!... Dnia 18-tego, gdym rano zerwał się ze snu, armaty już nie grały; była zupełna cisza".

Gen. Rozwadowski: (str. 97) Dnia 13 sierpnia zagrzmiały armaty. Od 13-go sierpnia do 17-go sierpnia trwa bitwa pod Warszawą. I-sza armja walczy na przedmieściu stolicy, V-ta armja nad Wkrą... (str. 98) Generał Rozwadowski przez cały czas bitwy nad Wisłą objeżdżał stale poszczególne odcinki frontu, wśród gradu kul wydawał dyspozycje, przesuwał odwody, zarządzał natarcia swoim systemem „ze siodła", a nie od zielonego stolika, daleko za frontem. Zielony stolik, to jest robotę sztabową, pozostawił sobie na nocne godziny... (str. 87).

*

Str. 101: „Po bitwie warszawskiej północną grupą wojsk polskich dowodził Naczelny Wódz osobiście; gen. Rozwadowski, kierując operacjami na południu, nie mógł być przy jego boku.. I tu niestety przyszło do pierwszego rozdźwięku między Naczelnym Wodzem a szefem sztabu, a rozdźwięku tego rezultatem, to krwawa i ciężka bitwa nad Niemnem, która o mało, że nie skończyła się na niepowodzeniu i nie przekreśliła sukcesów warszawskich... Gen. Rozwadowski uważał, że należy nieprzyjaciela uprzedzić, zadać mu klęskę ostateczną i podyktować pokój... Gen. Rozwadowski proponował, aby wyzyskać korzystną sytuację, którą stworzył gen. Rydz-Śmigły pod Grodnem i Augustowem, związać energicznemi atakami nad Niemnem środkowym siły bolszewickie, którym bardzo na łączności z Litwą i Prusami wschodniemi zależało. Tymczasem po zgrupowaniu jaknajsilniejszej grupy manewrowej, na południe od Kobrynia, należało uderzyć niespodziewanie na lewe skrzydło nieprzyjacielskie, zwinąć je dokumentnie, a potem maszerując na Słonim, Lidę i Wilno, wrzucić wszystkie siły bolszewickie i wojujące z nami litewskie wojska przez Kowno, Szawle w błota Windawy, a nawet w morze Bałtyckie... Naczelny Wódz uznał ten plan za dobry, zaznaczył jednak, że przez zalanie Litwy wojskami polskiemi, wywołałby wieczną nienawiść Litwy do Polski, do której nie chciał doprowadzić".

Kl. Hr.

Chocim -- kolebka potęgi króla Jana III.

Święcony przez nas rok Sobieskiego przywodzi na myśl wszystkie szczegóły związane z życiem i czynami tego wielkiego króla i wodza. A takim szczegółem istotnym, który dał początek późniejszej sławie i przyniósł Sobieskiemu koronę królewską, było zwycięstwo pod Chocimem.

Cóż dziwnego zatem, że korzystając z pobytu w najdalej na wschód wysuniętym skrawku Podola, wybrałem się do sąsiedniej Rumunji, by zwiedzić miejsce, którego pamięć duma napawa każdego Polaka.

Okropna, kociemi łbami wykładana droga, wobec której nasze „polskie drogi" są autostradami, wiedzie nas w tumanach kurzu przy temperaturze 60°, do Chocima. Półtorej godziny jazdy wśród łanów kukurydzy i słoneczników doprowadza nas do miasta". Chocim to rozległe, na rosyjski sposób parterowymi domkami zabudowane osiedle, zamieszkałe przez nieprawdopodobne ilości żydów. Nie wiadomo naprawdę, dla czyjego użytku stoją te 4 serkwie, barwnemi kopułami wznoszące się nad miastem, gdyż obok wojska nie widać tu nikogo — prócz żydów. Brud i nędza wywierają przygnębiające wrażenie, a gęsto rozsiane tabliczki głoszące, że jesteśmy na „ulicy" Princ Nikolai, Mircea cel Mare, czy Regina Maria, w niczem nie są w stanie nadać cech miasta, temu zbiorowisku walących się lepianek i ruder. Nawet główna arterja, straca Stefan cel Mare, nie czyni lepszego wrażenia. Lecz nie miasto jest celem naszej wycieczki. Idziemy ku uinom potężnej niegdyś warowni chocimskiej, której zdobycie było kluczem do całej wojennej karjery króla Jana III.

Półtora kilometra od miasta, złączona organicznie ze skalnemi ścianami jaru dniestrzańskiego, stoi od wieków, w toku których była kolejno siedzibą zmieniających się często władców tej ziemi. Stajemy przed potężnemi obmurowanemi wałami, przez które wiedzie do środka warowni kilka bram, z widocznemi śladami zwodzonych mostów. Wały pochodzą w swej dzisiejszej postaci z r. 1718, kiedy Turcy rozbudowali twierdzę pod kierunkiem francuskich fachowców. Wały po obu stronach fosy były wysoko podmurowane. Niestety ludność zdarła niemal wszędzie wierzchnią okładzinę, której polerowany piaskowiec służył za budulec wielu chatom i murkom, i dziś jedynie wewnętrzny mur szczerzy setki otworów pozostałych po osadzeniu okładziny.

W bramach mijamy wartę, która nieokazuje jednak przechodniom żadnego zainteresowania i wchodzimy w obręb wałów.

Przed nami sterczy ku niebu nagryziony zębem czasu minaret, widomy znak tureckiego panowania — obok jaskrawa cerkiew głosi zwycięstwo krzyża nad półksiężycem. W obrębie wałów liczne gruzy dawnych koszar rosyjskich zbudowanych tu po r. 1812, kiedy Rosja objęła Besarabię pod swoją władzę. W głębi właściwa cytadela.

Rozbudowywana kolejno przez licznych swych panów, od hospodarów wołoskich i królewiąt polskich po Turków i Rosjan, dziś popadła w zupełną ruinę i jedynie dobrze zachowane ściany zewnętrzne, baszty i blanki dają pojęcie o ogromie i potędze twierdzy.

Wnętrze zarosłe zielskiem daje pewien przegląd dziejów zamku. Gotyckie oddrzwia i okna dawnej kaplicy, wzniesionej rzekomo przez jakąś księżnę grecką, mauretańskie okna z czasów tureckich, ginące freski cerkwi św. Mikołaja zainstalowanej tu przez Rosjan. Trudno się wyznać w tym chaosie stylów i epok. I tylko ogrom kilkodziesięciometrowych ścian, grubość murów, szerokość krużganków, głębokość lochów świadczą o dawnej potędze tej zda się nie do zdobycia warowni.

A jednak dwukrotnie uległa orężowi polskiemu.

Raz w r. 1621, gdy Chodkiewicz rozgromił tu olbrzymią armję sułtańską, drugi zaś w 1673, gdy zwyciężył tu ówczesny hetman wielki koronny Jan Sobieski.

Przeprawiwszy swe wojska przez Dniestr stanął Sobieski obozem naprzeciw zamku, w dwudniowej walce pod osobistem kierownictwem zdobył atakiem piechoty wały, a wprowadziwszy 15 chorągwi husarji rozgromił 30 tysięcy Turków. Z namiotu wodza tureckiego, Husseina donosił o zwycięstwie królowi. List Sobieskiego nie zastał już króla przy życiu, zato zwycięstwo przyniosło koronę zwycięscy.

Dziś Chocim jest ruiną, ale pozostanie zawsze świadkiem naszej dawnej potęgi i w bieżącym roku szczególnie przypomnieć się godzi. Z.

Kula ziemska jako motor cieplny

Walka z żywiołami przyrody od niepamiętnych czasów zmuszała człowieka do bacznego ich obserwowania i wyciągania z tych doświadczeń wniosków na przyszłość: W rozmaitych okresach swego rozwoju człowiek rozmaicie ustosunkowywał się do tych zjawisk ale zawsze tendencją jego było powiązanie ich w pewną całość, czy to przez stworzenie mitologji, przypisującej tym lub owym bóstwom władzę nad poszczególnemi zjawiskami, czy też w miarę postępu i rozwoju **wiedzy, przez stwarzanie coraz to nowych teoryj naukowych.**

Zjawiska atmosferyczne: burze, pioruny grzmoty specjalnie interesowały człowieka. Od dawien dawna zapisywano rozliczne obserwacje o ich przebiegu starając się je powiązać we wspólny łańcuch przyczyn i następstw. Ale dopiero wynalazek maszyny parowej, motoru termodynamicznego i związane z tem rozważania teoretyczne umożliwiły pierwszą próbę ujęcia zawiłych zjawisk atmosferycznych w jedną wspólną teorję, obejmującą oczywiście całą atmosferę ziemską, a nietylko jakiś jej poszczególny odcinek.

Gdy w wieku XIX, wynaleziono maszynę parową, wówczas młody inżynier francuski Sadi-Carnot zapragnął dojść do zrozumienia jej działania i zorjentowania się w możliwościach poprawy jej wydajności. W swoich teoretycznych rozważaniach doszedł on do następujących uproszczeń: najistotniejszą i najniezbędniejszą cześcią najprostszego motoru termodynamicznego jets ognisko odstarczające ciepła (dodatnie źródło ciepła i chłodnica w której skrapla się para (ujemne źródło ciepła), oraz czynnik pośredniczący w przenoszeniu ciepła od źródła dodatniego (o wyższej temperaturze) do źródła ujemnego (o niższej temperaturze) t. zn. para wodna. Po takiem zredukowaniu rozważań do rzeczy absolutnie najistotniejszych udało się mu wykazać, że wydajność motoru termodynamicznego zależy jedynie od różnicy temperatur obu jego źródeł. Ten rezultat badań francuskiego inżyniera stanowi jedno z podstawowych praw fizyki, noszące nazwę „zasady Carnota".

Otóż pomiędzy atmosferą ziemską a motorem termodynamicznym istnieje wielka analogja. Sposób jej działania, jako całości, możemy zrozumieć jedynie w oparciu o zasadę Carnota.

Na czem ta analogja polega?

W uproszczeniu możemy nasz atmosferyczny motor cieplny, zresztą bardzo skomplikowany, przedstawić w sposób następujący: mamy jedno źródło ciepła i dwa zimna pomijając inne mniej ważne; międzyzwrotnikowe źródło ciepła i dwa źródła zimna na biegunach. Pomiędzy temi źródłami, jak w maszynie cieplnej, krąży przenośnik ciepła, powietrze.

To uproszczone porównanie wysuwa odrazu pewne konieczności natury praktycznej. Tak jak dla kontroli biegu machiny trzeba odpowiednich manometrów, tak samo potrzeba ich i dla kontroli funkcjonowania naszej atmosfery. Rolę tych manometrów spełniają stacje meteorologiczne, które oczywiście muszą obejmować zarówno obszary równikowe jak i polarne.

Zarówno zapiski żeglarzy, jak i obserwacje zakładanych coraz liczniej stacyj meteorologicznych wykazują, że impulsy powodujące ruchy atmosfery są najogólniej biorąc dwojakiego pochodzenia: międzyzwrotnikowego i biegunowego. Sam obszar polarny przedstawia zbiornik zimnego ciężkiego powietrza, rozpływającego się bezustannie ku niższym szerokościom geograficznym. W zetknięciu z ciepłemi masami powietrza zwrotnikowego daje ono cały szereg zaburzeń i rzucającą się w oczy ruchliwość.

Te zasadnicze zjawiska, w oparciu o zasadę Carnota, usiłował Dove powiązać w jedną całość z zawiłemi zjawiskami atmosferycznemi w średnich szerokościach geograficznych. Wyobrażał on sobie pracę wielkiego atmosferycznego motoru cieplnego, jako walkę między równikowemi a polarnemi prądami powietrza. Walka ta rozgrywa się na pewnym wielkim froncie, przebiegającym przez całą ziemię na pewnej ciągłej linji, którą obserwacje powinny wykazać. I to jest pierwsza teorja frontu polarnego.

Ale z biegiem lat zaczyna pokrywać ziemię coraz gęstsza sieć stacyj meteorologicznych, telegraf i radjo łączą je w jedną całość, następuje wymiana spostrzeżeń. W ręku meteorologów gromadzi się obfity materjał obserwacyjny, a pod wpływem jego zaczyna się chwiać teorja Dove'go. Nasuwają się wątpliwości czy naprawdę w atmosferze zachodzą te zjawiska w tak prosty sposób.

Nowy środek pomocniczy, mapy pogody (synoptyczne), zwrócił początkowo uwagę na rzecz pozornie inną, na wędrujące zniżki i zwyżki barometryczne. Wysuwa się kwestja ich znaczenia z punktu widzenia zasady Carnota. Czy są to oddzielnie pracujące maszyny cieplne, czy też tylko kółka i przenośnie w jednej dużej?

W każdym razie z przyjętego na mapach sposobu kreślenia rozkładu zniżek nie można było absolutnie wywnioskować o istnieniu wielkiego frontu polarnego. — Zaistniała przeto pozorna rozbieżność między teorją a obserwacją.

Pracy nad wyjaśnieniem tego problemu poświęcił się jeszcze w latach przedwojennych norweski uczony V. Bjerknes. Ze stworzoną przez siebie szkołą prowadził on badania w Niemczech, a następnie w czasie wojny przeniósł się z powrotem do Norwegji, gdzie przeprowadzając początkowo w bardzo ciężkich warunkach obserwację, gromadził potrzebne mu materjały. Rezultat tych badań został uwieńczony pomyślnym wynikiem: stwierdzono istnienie wielkiego frontu polarnego.

A więc przedewszystkiem doszedł Bjerknes do przekonania, że niema zasadniczej sprzeczności między „teorja walki" Dove'go, a „teorją zniżek" szkoły synoptycznej, albowiem w tych właśnie zniżkach odbywa się owa walka Dove'go w niezwykle wzmożonej sile.

Dalej szkole norweskiego uczonego udało się wyjaśnić kwestję powstawania zniżek barometrycznych (cyklonów), co pozostaje w ścisłym związku z przebiegiem wielkiego frontu polarnego.

Nad obydwoma biegunami ziemi zalegają kołpaki zimnego powietrza. Nagromadza się ono ciągle a będąc gęstsze i w nadmiarze, spływa bezustannie ku niższym szerokościom geograficznym w postaci czy to charakterystycznych języków czy to t. zw. fal zimna. Najbardziej jednak uderzającem jest to, że początkowo nie miesza się ono z powietrzem ciepłem, przybywającem od zwrotnika. Dzieli je wyraźna powierzchnia graniczna, nachylona pod pewnym kątem do poziomu a zwana właśnie „frontem polarnym". Na tym „froncie polarnym" powstają całe rodziny zniżek barometrycznych (cyklonów) i stąd posuwając się w kierunku wschodnim zajmują coraz to nowsze obszary swą burzliwą pogodą.

Teorja frontu polarnego w formie podanej przez szkołę norweską, wskazuje na bezwzględną konieczność otoczenia okolic podbiegunowych gęstą siecią stacyj meteorologicznych. Bez zbadania okolic polarnych nie będziemy mogli nigdy opanować zjawisk meteorologicznych naszej atmosfery. Wynika to z równą siłą z zasady Carnota, jak i z obserwacyi zjawisk, objętych wspólną nazwą frontu polarnego. I stąd takie olbrzymie zainteresowanie badaniami polarnemi, stąd usilne wyprawy w okolice podbiegunowe.

—B

PAUL VERLAINE

„La lune blanche"

Srebrna poświata
lśni się wśród drzew.
Z boku dolata
słowików śpiew
tony wdal płyną...

Słyszysz dziewczyno?

W blasku miesiąca
lśni stawu toń —
wierzba płacząca
pochyla doń
zieleń warkoczy...

Wieczór uroczy!

Gdy ptaki zasną
i zmilknie gwar, —
tą nocą jasną
przedziwny czar
ziemię obleka...

Pójdź, — szczęście czeka!

przełożył *Kazimierz Rychłowski.*

Polska „Historja Kościoła"

Jeżeli katolicka kultura nawet oświeconych warstw społeczeństwa polskiego domaga się niejednokrotnie uzupełnienia, to w wielu wypadkach decydującą rolę w istnieniu luk odgrywa brak właściwej literatury katolickiej. Zbyt popularna, obliczona tylko dla prostych umysłów lub zbyt specjalna literatura z zakresu zagadnień katolickich i ich znajomości nie znajduje oczywiście oddźwięku w społeczeństwie oświeconem. A jednak tworzenie takiej literatury z przeznaczeniem dla tych właśnie warstw leży w interesie katolicyzmu, który ostatnio rozpoczął szeroką Akcję Katolicką wśród społeczeństwa świeckiego.

Braki w polskiej literaturze katolickiej są znaczne i różnorodne. Piekącą jednakowoż luką był brak wyczerpującego, poważnego dzieła polskiego o historji kościoła katolickiego. Można powiedzieć, żeśmy do tej pory napisanej historji kościoła nie mieli. Z zasługujących na uwagę, ale nie wypełniających zadania wymienić należy Wład. Krynickiego „Dzieje kościoła Powszechnego" w czwartem wydaniu i opracowaniu O. Wł. Szodrskiego, dalej ks. Wł. Szcześniaka „Dzieje kościoła katolickiego" doprowadzone tylko do pontyfikatu Grzegorza VII., podręcznik K. Völkera „Kirchengeschichte Polens", jeżeli już nie mówić o dawniejszej książce ks. Bulińskiego z r. 1886.

Bez porównania szczęśliwsi są pod tym względem katolicy innych narodowości, którzy oddawna posiadają obszerne dzieła o historji kościoła, że wspomnąć tu tylko z ostatnich czasów Fern. Mourret'a (Histoire générale de l'Eglise 10 tomów), A. Knöpflera (Lehrbuch der Kirchengeschichte) i innych.

To też z prawdziwą ulgą i uznaniem przyjmujemy świeżo wydobytą z pod prasy Wydawnictwa Zakładu im. Ossolińskich we Lwowie „Historję kościoła" (tom I.) napisaną przez wybitnego znawcę przedmiotu, profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza ks. dra Józefa Umińskiego. Książka jest wprawdzie przeznaczona przedewszystkiem dla studentów szkół akademickich, sądzimy jednak, że nietylko z pożytkiem ale z prawdziwem zainteresowaniem przeczytać ją winien — i napewno chyba przeczyta — każdy nietylko duchowny, ale i świecki katolik. Książka na to ze wszech miar zasługuje.

Jest przedewszystkiem — jak wspomnieliśmy — właściwie pierwszą wielką historją kościoła napisaną po polsku — dla Polaków. Autor ma pełne poczucie nietylko tego doniosłego faktu i wypływających z niego zadań, ale przepojony zdrową, cenną ambicją narodową wysnuwa wnioski: „brakiem głównym — pisze — wszystkich podręczników dotychczasowych jest, że powstając zagranicą, uwzględniają prawie wyłącznie stosunki i czynniki zagraniczne. sprawy zaś słowiańskie i polskie prawie całkowicie pomijają. Historję Kościoła przedstawiają tak, jakgdyby Słowiańszczyzna i Polska nie odgrywały w niej żadnej roli i były co najwyżej biernemi receptorkami tylko, nie wnosząc niczego od siebie do dziejów kościelnych i kulturalnych. Właśnie z tej przyczyny żadnego z podręczników zagranicznych nie możemy nazwać zupełnym, wszystkie zaś grzeszą jużto romańską już germańską stronniczością".

I stwierdzić trzeba z największą radością, że autor dopiął swego zamiaru już w pierwszym tomie. Przechodząc żmudnie poszczególne fazy historyczne Kościoła i jego rozwoju nie zapomina nigdy o początkowo nielicznych, a w miarę postępu wieków coraz liczniejszych fragmentach historji Kościoła, w których zarówno Słowiańszczyzna, jak w szczególności Polska, odgrywają coraz znakomitszą rolę, aż wreszcie zajmują wybitne stanowisko ośrodka misji katolickiej na Wschodzie. Dopiero w książce ks. Umińskiego można w całości pojąć rolę Polski w Dziejach Kościoła katolickiego, jej czynną, zawsze pożyteczną i pozytywną rolę, która wysuwa nas na tym odcinku na czoło wszystkich narodów słowiańskich. Jest to bodaj najcenniejsza strona nowego dzieła.

Podziw zaś prawdziwy budzi jej absolutny objektywizm. Autor — zgodnie z zasadniczą podstawą nauk historycznych — nie stara się przemycić ciemniejszych stron historji kościelnej zapomocą zaprawionej obłudą tendencji. Wykłada jasno i wyraźnie o wszystkiem, za zasadę poczytując sobie, że „ani Pan Bóg, ani ustanowiony przezeń Kościół nie potrzebują kłamstw naszych". Jeżeli ten tak napozór oczywisty moment w znakomitej książce ks. Umińskiego podkreślamy ze szczególnym naciskiem, to głównie dlatego, że do niektórych poczynań właśnie w publicystyce katolickiej wkradł się zwyczaj zaciemniania, a nieraz wręcz zaprzeczania niektórym oczywistym prawdom ad usum bieżących potrzeb taktyki czy polityki kościelnej. Niema nic błędniejszego ponad tę metodę. W okresie zbyt może nawet przeczulonego krytycyzmu z jednej, a propagandy przeciwników Kościoła wyzyskujących słabsze pozycje z drugiej strony — jedyną słuszną i celową drogą jest prawda faktów i jasność poglądów. Książka ks. Umińskiego budzi poczucie rzetelnej prawdy, a u przeciwników Kościoła wzbudzić musi obok tego szacunek dla jej bezstronności i umiaru, a przez to zgóry osłabić wszelkie możliwe ataki. I to jest olbrzymi sukces i naprawdę wielka wartość nowej książki, przynosząca rzeczywistą korzyść interesom katolickim, a chlubę jej autorowi.

Jeśli do walorów „Historji Kościoła" ks. Umińskiego dodamy jasność i prostotę stylu udostępniającego ją każdemu laikowi, umiejętność zestawiania dziesiątek i setek drobiazgów bez zaciemniania całości wykładu, przebogatą bibljografję zarówno zagraniczną jak i polską poszczególnych zagadnień przedmiotu, a obok tego objętość dzieła (576 stron) w niczem jednak nie osłabiającą pełnego zainteresowania, z jaką książkę nawet w jej najtrudniejszych ustępach się czytało stwierdzić wypada, że jest ona naprawdę dziełem godnem najlepszych tego rodzaju w piśmiennictwie nietylko polskiem, ale i zagranicznem.

Omówienie szczegółowe naukowych walorów książki odstępujemy fachowej publicystyce historycznej. Tu pragniemy jedynie podnieść, że pierwszy tom „Historji Kościoła" obejmuje jego dzieje do r. 1517 t. j. epokę starożytną i średniowieczną do wystąpienia Lutra wyłącznie. Epoki dzieli autor na okresy, a przechodząc ich fazy w różnych dziedzinach daje nam końcowe rzuty na znaczenie i rolę poszczególnych okresów. Przyczynia się to bardzo do wyrazistości wykładu.

To też życzyć sobie należy, aby nowa książka znalazła się rychło nietylko w rękach studjującej młodzieży teologicznej i duchowieństwa, ale w ręku każdego katolickiego inteligenta. Autor zaś — w co nie wątpimy — pozwoli nam niebawem omówić i następny tom jego wielkiego i tak bardzo potrzebnego dzieła.

Kl. Hr.

Obrączka Madonny

W bazylice św. Wawrzyńca w Perugji znajduje się piękny złocony relikwjarz, mieszczący w swem wnętrzu niepokaźną obrączkę ślubną z onyksu.

Obrączka ta, jak głosi legenda, należała do św. Józefa, który — zgodnie z przyjętym rytuałem — dokonał z jej pomocą obrzędu zaślubin z N. Marją Panną.

Pierwszą wzmiankę o tej obrączce spotykamy w roku 985. W tym to roku złotnik toskański Raniero udał się do Rzymu, by tam, na zlecenie markizy Judyty, siostrzenicy cesarza Ottona, wielce bogobojnej pani, zakupić rozmaite klejnoty i kosztowności. W Rzymie natknął się Raniero na pewnego podróżnego, przybyłego właśnie z Ziemi Świętej z dużym zapasem drogich kamieni i wyrobów ze złota. Raniero zakupił od niego większą ilość klejnotów. Wówczas podróżny ten ofiarował mu skromny pierścionek z onyksu, prosząc, aby pierścionek ten wręczył markizie, niewieście słynącej z gorącej wiary i pobożności. Pierścionek ten — oświadczył podróżny — jest tym samym, który św. Józef włożył na palec N. Marji Panny w dzień zaślubin.

Dodał przytem, że tak bezcenną relikwją nie godzi mu się handlować, zaczem ofiaruje ją zupełnie bezinteresownie, przekonany, że dostanie się ona w bardziej odpowiednie ręce, niż jego.

Nie przywiązywał Raniero większej wagi do tej informacji. Po powrocie do domu, do Chiusi, wrzucił pierścionek do szkatułki z klejnotami, nic nikomu nie mówiąc, — i więcej o nim nie myślał.

W dziesięć lat później umiera jedyny synek Raniera. Zrozpaczony ojciec urządza mu wspaniały pogrzeb. I oto podczas egzekwji w kościele zmarły chłopczyna nagle budzi się, siada na katafalku i zaczyna mówić, ku osłupieniu obecnych. Opowiada, że był już u bram Raju, że w uszach brzmi mu jeszcze przecudna muzyka i śpiewy chórów anielskich, że oczy olśnione ma z zachwytu. Opowiada, że widział N. Marję Pannę, w lazurach i bieli, która powiedziała mu: „Nie możesz zbliżyć się do mych stóp, dopóki ojciec twój trzyma w ukryciu i zapomnieniu świętą relikwję, moją obrączkę ślubną, której właściwe miejsce jest w kościele. Wracaj na ziemię, powiedz twemu ojcu, by uwierzył w to, co mu oświadczono. Powiedz mu, że to co mu powiedziano na ziemi, potwierdzonem jest w niebiosach".

Raniero, słysząc to, wraca czemprędzej do domu. Przynosi ze sobą szkatułkę, napełnioną klejnotami, otwiera ją. A syn jego, który owej obrączki nigdy nie widział na oczy, rozpoznaje ją odrazu wśród innych kosztowności, wydobywa ją i pokazuje zgromadzonym.

Od tej chwili święta relikwja umieszczoną została w kościele św. Franciszka w Chiusi, gdzie sprawiała liczne cuda.

Pozostawała tam do roku 1473, kiedy to jeden z zakonników, Niemiec postanowił unieść ją pokryjomu do swej ojczyzny. Zaledwie jednak ze świętą relikwją opuścił mury miasta, otoczyła go zewsząd nieprzenikliwa mgła, uniemożliwiając dalszą drogę i wszelką orjentację. Przerażony i skruszony zakonnik żałuje swego czynu, postanawiając w duszy odnieść świętą relikwję z powrotem do kościoła. I oto mgła się rozstępuje, otwierając mu wolną drogę. Idzie w tym kierunku, aż wkońcu znajduje się w Perugji. Tam zgłasza się do przeora, wyznaje mu wszystko. Przeor widzi w tem wyraźny palec Boski: widocznie Madonna chciała, by obrączka pozostała na stałe w Perugji. Tak się też stało. Biskup Jakób Vannucci polecił sporządzić drogocenny relikwjarz i od tego czasu obrączka Madonny stała się przedmiotem kultu wiernych, którzy doznają licznych łask i cudów, zanosząc modły przed ołtarzem, na którym stoi relikwjarz z „obrączką Madonny".

(R.)

Ciekawostki ze świata

Restauracja domu Napoleona

W Paryżu postanowiono dokończyć restauracji Longwood na wyspie św. Heleny, gdzie Napoleon spędził ostatnich 6 lat życia i ministerjum spraw zagranicznych upoważniło do tego Towarzystwo przyjaciół św. Heleny.

Restaurację rozpoczął był niegdyś Napoleon III., który w tym celu wysłał na wyspę kapitana Mousoclin, ten jednak zajął się tylko głównym budynkiem, a zaniedbł zupełnie domy, w których mieszkała świta cesarza. Skutek jest taki, że obecny zarządca Longwood musi mieszkać w pokojach, które zajmował Napoleon.

Nocne wycieczki do krateru Wezuwjusza

Następca tronu włoskiego, ks. Humbert zaprosił oficerów 31 pułku piechoty na bankiet u stóp Wezuwjusza. Około północy całe towarzystwo udało się specjalnym pociągiem do obserwatorjum, a stamtąd piechotą nad krater — jak wiadomo czynny od przeszło miesiąca. Ks. Humbert zamierza emocjonującą wycieczkę powtórzyć z oficerami innego pułku. Jego przykład znalazł naśladowców i wycieczki o północy na szczyt Wezuwjusza wchodzą coraz bardziej w modę.

Filmowy aktor z musu

Nakręcany obecnie hitlerowski film propagandowy przedstawia na tle początkowych faz ruchu narodowo-socjalistycznego życie Horsta Wessela, który jako 26-letni chłopak poległ za sprawę hitlerowców. Muzykę do filmu komponuje dr. Hofstängel. Przywódca komunistyczny Thälmann, przebywający obecnie w więzieniu, będzie należał do wykonawców filmu. Jego rola jest nawet dość wybitna. Coby go spotkało w razie, gdyby nie chciał się jej podjąć, można się tylko domyślać.

Odrodzona Nitra

JAK OTWARTO KSIĘGĘ TYSIĄCLETNIEJ HISTORJI. — U STÓP PIERWSZEGO CHRZEŚCIJAŃSKIEGO KOŚCIOŁA W EUROPIE ŚRODKOWEJ. — PRZYGOTOWANIA DO WIELKIEJ UROCZYSTOŚCI W NITRZE NA SŁOWACZYŹNIE. — ODNOWIONA HISTORJA I ODNOWIONE MIASTO.

Jest to prawdziwy cud. Cud dziejów. Nowy dowód tego, że nic nie zanika bez śladu, że nic nie utonie bez pamięci w głębinach przeszłości. Przychodzą czasy, kiedy pył wieków znika jako dym a resztki dawnych wieków lśnią nowym blaskiem, nabierają nowej treści.

Cud taki przedstawił się nam obecnie w Nitrze, prastarem mieście Słowaczyzny. Historyczna ta siedziba słowackich książąt już dawno przestała być państwowym ośrodkiem administracyjnym. Stopniowo pod naciskiem wieków i wypadków jej przeszłości była zapominana, jej sława zanikała w mgle legend, a wiele z jej dziejowej przeszłości pokryło się nietylko pyłem zapomnienia w przenośni, ale i w dosłownem tego słowa znaczeniu.

Przez wieki działo się tak świadomie. W r. 907, przed przeszło tysiącem lat Madziarzy opanowali Nitrę i cały słowacki kraj otaczający ten pyszny kiedyś gród. Azjaci, którzy usadzili się w samem sercu Europy, Madziarzy chociaż starali się uzyskać połysk cywilizacji, zeuropeizować się w miarę tego jak rosła kultura europejska, ze zdumiewającą wytrwałością dziedziczyli z pokolenia na pokolenie podstawowe rysy swej azjatyckiej krwi, — chęć panowania, chęć ujarzmiania. Całemi wiekami dążyli do tego, by ujarzmić nietylko fizycznie ale i duchowo słowacką ludność kraju. Oczywiście że przy tem nieoszczędzano słowackich skarbów historycznych. Znaczniejsze momenty słowackiej historji były umyślnie zacierane. Przeszłość samodzielnego kiedyś narodu sztucznie łączona była z przeszłością Madziarów, jako narodu suwerennego i czołowego.

Trzeba było niebywałego wstrząsu, który zachwiał całą Europą całym światem. Musiało nastąpić to, co powaliło całe kolosy państwowe, co spowodowało rozmach nowych sił, które wytworzyły nową mapę Europy, aby można było przypomnieć sobie te czasy, kiedy Nitra kwitła... Sławę starej stolicy Słowaczyzny wspomina się przy sposobności, która zasługuje na wyjątkową uwagę.

Nie wszyscy może wiedzą, że Nitra za panowania słowackiego księcia Pribiny (lub Priwiny — fonetyczne brzmienie tego nazwiska zatarło się w głębinach wieków) odgrywała w szerzeniu chrześcijaństwa taką samą rolę jak n. p. Kijów w starej Rosji za księcia Włodzimierza Świętego.

Legenda, — nie, nietylko legenda, ale i historyczne źródła głoszą że książę Pribina, panując w Nitrze w pierwszej połowie IX. wieku przyjął chrześcijaństwo i w nitrzańskim grodzie wybudował pierwszy w Europie środkowej kościół chrześcijański. Stało się to następująco: Władca morawski książę Mojmir wypędził z Nitry księcia Pribinę. Pribina prosił o pomoc panońskiego margrabiego Ratboda. Przy jego pomocy znów opanował kraj nitrzański. Ratbod był chrześcijaninem a wzruszony pomocą z jaką mu pospieszył, Pribina sam postanowił przyjąć chrześcijaństwo. Ochrzczony został przez salzburskiego arcybiskupa.

Pierwszy słowacki książę stał się gorliwym wyznawcą chrześcijaństwa. Pierwszym jego czynem było wybudowanie Kościoła chrześcijańskiego w Nitrze pod wezwaniem św. Emmerama. Kościół ten, wybudowany w stylu romańskim, który następnie zanikł w budownictwie kościelnem w Europie środkowej i Zachodniej, stał się ośrodkiem chrześcijaństwa w starodawnej Słowaczyźnie. [illegible] Nitry na 63 [illegible] go kraju, a 30 lat przed zawitaniem w te strony słowiańskich apostołów Cyryla i Metodego.

Książę Pribina wybudował nietylko ten kościół którego tysiąclecie obchodzone będzie nadzwyczaj uroczyście w dniach od 12—15 sierpnia br. ale i szereg innych kościołów swym stylem podobnych do kościoła nitrzańskiego.

Wszystkie te pamiątki świadczą nietylko o prastarej chrześcijańskiej kulturze Słowaczyzny, ale i o dawnej tradycji słowackiego życia państwowego. Tak samo jak historja św. Wacława w Czechach, tak i historja księcia Pribiny dowodi historycznej przeszłości Słowaczyzny. W Czechach symbolem państwowości był św. Wacław, na Słowaczyźnie Pribina. Ten właśnie fakt podkreślany będzie podczas uroczystości sierpniowych w Nitrze, które będą zarazem obchodem całopaństwowym a nietylko kościelnym. Do Nitry zjadą się w tych dniach nietylko wysocy przedstawiciele Kościoła ale i przedstawiciele rządu czechosłowackiego i licznych organizacyj kulturalnych. Przyjadą również liczni obcokrajowcy, dla których Nitra dotąd była mało lub zupełnie nieznaną.

Nitra leży w kraju położonem w pobliżu „zanikającego świata", w pobliżu Słowaczyzny środkowej, gdzie zachowały się lśniące swą wspaniałością stroje narodowe, gdzie czarowny koloryt narodowy dotąd nie został dotknięty pustoszącym modernizmem.

Uroczystości nitrzańskie zatem będą wielką, żywą wystawą etnograficzną. Uroczystości jubileuszowe w Nitrze budzą wielkie zainteresowanie nietylko w całej Czechosłowacji, ale i zagranicą zwłaszcza w Polsce, skąd wyruszy do Nitry wielka pielgrzymka.

—:—

Z nowszych badań nad gruźlicą

Współczesny pogląd na gruźlicę diametralnie różni się od dawniejszego jej pojmowania i jest owocem gruntownych badań przy pomocy nowych metod pozwalających równocześnie stwierdzić zakażenie gruźlicze (metoda Pirquet'a) i badać dalsze jego losy.

Gruźlicę ograniczano od jednej sprawy chorobowej t. zw. suchot, które stanowią, jak dziś wiemy, trzecie stadjum procesu gruźliczego, a więc sprawę dalcko posuniętą; dlatego też uważano gruźlicę za chorobę stosunkowo rzadką, bardzo złośliwą i groźną — stwierdzenie gruźlicy o danego osobnika równało się wyrokowi śmierci. Wiele spraw chorobowych, które stanowią wcześniejsze stadja gruźlicy, rozpoznawano mylnie.

Z nowszych badań wynika że: **gruźlica jest chorobą wieku dziecięcego**, gdyż zakażenie gruźlicze w tym wieku jest niezmiernie częste. Statystyka wykazuje, że między 10—16 r. życia wszystkie dzieci ulegają zakażeniu; walka z gruźlicą dziecięcą zapobiega zachorowywaniu dorosłych i chroni dzieci od śmierci. — Gruźlica jest jedną z najbardziej dobrotliwych wśród chorób zakaźnych, bo pomimo że zakażenie jest bardzo częste, to jednak nie jest ono identyczne z chorobą, przeważnie choroby niema — z całkowitej ilości dzieci zakażonych między 10—1[illegible] r. życia tylko 3—7 proc. zapada na chorobę. Gdyby gruźlica była tak złośliwą chorobą jak np. kiła, gdzie zakażenie równa się zachorowaniu, to wymarłaby wkrótce cała ludzkość.

Rozpatrzmy szereg czynników od których zależy możliwość przejścia zakażenia w chorobę.

1. Zależnie od wieku: Im dziecko jest młodsze, tem możliwość zachorowania jest większa. — W życiu dziecka są dwa okresy niebezpieczne, w ciągu których są specjalnie sprzyjające warunki dla wybuchu choroby: pierwszy okres trwa do 5 roku życia, drugi od 9 do 15 r. — jest to okres dojrzewania, który przypuszczalnie osłabia siły ochronne ustroju wskutek procesów zachodzących w nim i zużytkowujących dużo energji życiowej, a mających na celu wzrost organizmu.

2. Wpływ warunków, w jakich dziecko żyje, a więc: mieszkanie, ilość i jakość pożywienia, powietrze... Odpowiednie warunki życiowe w znacznej mierze przyczyniają się do zabezpieczenia dziecka od możliwego zachorowanie.

3. Otoczenie dziecka i stąd wynikająca możliwość powtórnego zakażenia (reinfekcji). Możliwość wybuchu choroby przy powtórnem zakażeniu uzależniano od ilości prątków, dostających się do ustroju. Okazało się jednak, że ta ilość prątków jest zbyt mała, aby mogła mieć znaczenie, ważniejszą zaś rzeczą jest tempo reinfekcji — częstość i czas dzielący jedno zakażenie od poprzedniego. Jeden z badaczy odróżnia trzy rodzaje reinfekcji, z których każda następna jest coraz niebezpieczniejsza: 1. **Zakażenie okolicznościowe** — przypadkowe, jednorazowe, dostanie się prątków do ustroju przy zetknięciu się z osobnikiem chorym. 2. **Zakażenie pełzające, podkradające się** — stykanie się z osobnikiem chorym co kilka tygodni lub miesięcy i wynikające stąd zakażenia. Dziecko przy każdem zakażeniu mobilizuje siły obronne ustroju — organizm jego jest w ciągłej gotowości do walki; im częściej jednak powtarza się ta mobilizacja sił, tem łatwiej może dojść do choroby, gdyż w końcu siły obronne wyczerpią się. Ten typ zakażenia jest tem niebezpieczniejszy że często osoby uchodzące za całkiem zdrowe od czasu do czasu wydalają prątki gruźlicze. Mianowicie ostatnie 3 lata badań wykazały, że osoby starsze, które mają małe ogniska gruźlicze jednak bez objawów klinicznych i bez prątków w plwocinie, z chwilą gdy zapadną na jakąś nie swoistą chorobę dróg oddechowych np. najmniejszy katar, zaczynają nagle wydalać prątki. Przy decyzji czy dana osoba np. pielęgniarka może być źródłem reinfekcji pełzającej, trzeba się oprzeć nie tylko na badaniu plwociny i objawów klinicznych, lecz także na prześwietleniu Roentgenem w celu zbadania obecności ognisk gruźliczych. 3. **Napad szturmowy prątków** — typ zakażenia najgorszy. Gdy dziecko mieszka razem z osobnikiem chorym, który ciągle go na nowo zakaża, to po kilku tygodniach może zginąć na gruźlicę, pomimo że poprzednio było całkiem zdrowe. Dawniej ten typ zakażenia nazywano reinfekcją masywną, gdyż uzależniono stopień ciężkości choroby od ilości dostających się prątków. Teraz wiemy, że główną rolę gra nie ilość prątków, która zresztą jest bardzo mała, lecz tempo reinfekcji i związany z niem stopień wyczerpania sił obronnych organizmu.

Stwierdzenie typu reinfekcji jest rzeczą bardzo ważną, gdyż pozwala odpowiednio zmienić otoczenie i w ten sposób zapobiec pogorszeniu się sprawy.

Po rozpatrzeniu czynników wpływających na możliwość zachorowania, zobaczmy, jakie szanse wyzdrowienia ma osoba już chora na gruźlicę.

I. Wiek niema tu tak decydującego znaczenia, jak przy zagadnieniu poprzedniem; wymienione dwa okresy życia dziecka: do 5 r. i między 9 a 15 nie sprzyjają polepszaniu się sprawy chorobowej, zaś dziecko chore w wieku między 5—10 r. ma więcej szans wyzdrowienia.

II. Im mniej ważny narząd zajęty jest chorobą, tem więcej istnieje danych do wyleczenia. Stadjum sprawy chorobowej, w którem znajduje się dany osobnik, ma znaczenie jeszcze większe. — Dawniej odróżniano dwie postacie gruźlicy: 1) exsudatywną — tworzenie się soczystych nacieków o dużej ilości wody i komórek, która miała zawsze prowadzić do rozpadu tkanki, więc prognoza była bardzo zła, 2) **produktywną**, — nie tworzącą nacieków, lecz prowadzącą do organizacji tkanki gruźliczej, nie doprowadzała do rozpadu, więc prognostycznie była lepsza. Badania 10—12 lat ostatnich stwierdziły, że wymienione dwie grupy nie są dwiema postaciami gruźlicy, lecz są to dwa stadja tego samego procesu. Mianowicie zapalenie gruźlicze, jako odpowiedź obronna tkanki, zaczyna się zawsze exsudatywnie, ale potem może prowadzić bądź do rozpadu bądź do organizacji, zależnie od tego wnioskujemy, czy sprawa posuwa się w kierunku pogorszenia, czy też polepszenia. Stwierdzenie tego jest rzeczą bardzo ważną, ale też bardzo trudną, gdyż brak odpowiednich ścisłych metod badania.

III. Złe warunki życia, zwłaszcza zaś niektóre choroby zakaźne, jak grypa, koklusz, odra lub choroby przemiany materji, jak krzywica, cukrzyca, — wpływają silnie osłabiająco na ustrój i pogarszają prognozę.

IV. Reinfekcja, — gdy dziecko chore ponownie ulegnie zakażeniu, to sprawa chorobowa może nagle skoczyć w kierunku znacznego pogorszenia, szczególnie wtedy, gdy ta infekcja będzie typu pełzającego.

Rokowanie w gruźlicy dziecięcej jest wogóle rzeczą trudną i podobnie jak djagnostyka musi posługiwać się wszelkiemi metodami i uwzględniać wszystkie czynniki. Stopień prawdziwości jego jest proporcjonalny do ilości tych uwzględnionych metod i czynników.

N. O.

—:—

10-złotówki z Sobieskim



Mennica państwowa wybiła nową 10-złotową monetę jubileuszową, z okazji 250 rocznicy odsieczy wiedeńskiej. Przedstawia ona z jednej strony podobiznę Sobieskiego, z drugiej godło państwa, projektu znanego medaljera poznańskiego prof. Jana Wysockiego.

—:—

Wpośród wydziedziczonych

Pojawiła się świeżo na półkach księgarskich powieść Jana Wiktora „Wierzby nad Sekwaną", której tematem jest smutna nad wyraz dola naszego wychodźtwa we Francji. Książka, pisana serdeczną krwią i łzami, a oparta na autopsji.

Poniżej zamieszczamy użyczone nam łaskawie przez autora szkice z bruku paryskiego, pozwalające zorjentować się w jaki sposób i gdzie zbierał on materjały do swej ostatniej powieści.

Redakcja.

Jest w Paryżu popularna dzielnica Sainte Paul — możnaby powiedzieć, że to dzielnica polska. Ku Sekwanie wybiegają wąskie uliczki, rozpadliny wśród kamienic. Zda się, że nigdy słońce nie zaglądała. Okna powleczone wiecznym brudem i mrokiem. Tutaj wpadają z pobliskich ferm, polskie gromadki aby spotkać znajomych, pogwarzyć, pośmiać się, tutaj zjeżdżają niemal z całej Francji po skończeniu kontraktu, aby zamieszkać w brudnym hoteliku i szukać pracy. Tutaj handlują polskiemi dziewczynami, tutaj grasują szajki oszustów, które sprzedają naiwnym emigrantom świecidełka bezwartościowe, wymieniają papierki na dolary. Stąd rozpełzają się na dworce kolejowe, na place wyścigowe, pod konsulaty.

W niedzielę wieczorem, aż ciasno. Zdaje się nam, że jesteśmy w polskiem miasteczku, pozbawionem wszelkiej opieki wszelkich więzów i kontroli moralności. Hoteliki w których gnije życie, wylęga się grzech i zbrodnia. Tutaj pod ścianami dziewczyny — jakże długi ich szereg — które na krawędzi rynsztoka — w długie noce hańby, zarabiają na swoje utrzymanie i na utrzymanie nieślubnego dziecka. Wszędzie rozbrzmiewa mowa polska. Bo to w niedzielę sejm, jarmark, odpust, miejsce zabaw, pijaństwa, rozpusty, pośrednictwa pracy, stręczycielstwa. Polskie garkuchnie, restauracje, polska wódka, kiełbasa krakowska i polskie awantury. W knajpach ciasnych, brudnych flaszki i patrjotyczne obrazy dla rodaków — orzeł polski — obok fortepiano wystukujący sentymentalne pieśni o kraju, o tęsknocie, aby „klientelę" przynęcić, aby ci z północy płakali w szklanki, czy kieliszki i dalej pili, aż zapiją boleść, tęsknotę do smutnej, dalekiej, drogiej ziemi, gdzie tyle głodu, gdzie tak brak chleba — gdzie tyle zimna.

W ostatnich latach Sainte Paul wsławiła się jeszcze tem, że pewne agencje wycieczkowe zapomocą polskich Bartków i Wojtków tutaj inscenizują napady na autokary pełne amerykanek, angielek, szukających wstrząsających wrażeń.

Gdzieś jak w kinowym obrazie cienie snujące po zaciemnionej uliczce w sąsiedztwie podejrzanych hotelików, — kaszkiet na bok rzucony, czerwona krecha szalika owijająca szyję, papieros przylepiony do warg — jak nakazuje reżyser — majchry w rękach, rewolwery wymierzone, krzyki „ręce do góry". Napad na pyszną limuzynę. Chwila napięcia! Nie leje się krew. Rabunek pierścionków, zegarków, portfeli, które jutro znów wracają do rąk właścicieli — na chwałę policji, która zdołała w tak krótkim czasie wykryć sprawców i odebrać przedmioty — według zapewnienia urzędników biur urządzających owe napady.

Jednakże sprawców tego, nie szuka policja — to należy do źródeł dochodowych. Czemże byłby Paryż bez osobliwości? Omijałyby go funty i dolary. Niema tych osobliwości, więc biuro Cooka musi za uszy wywlekać. Paryż zawsze musi być międzynarodowym cyrkiem, zawsze musi dyszeć grozą.

Ta dzielnica znana konsulatowi polskiemu, znana władzom policyjnym. Zbierając materjały do powieści — siadywałem w knajpach na progach hotelików, gdzie życie przynosiło mi dokumenty przeżyć i zdarzeń.

—0—

Jednak opuściłem tę dzielnicę i poszedłem dalej — aby odszukać dusze polskie, które nie mają ani takiej knajpy, które nie mają schroniska w takim hoteliku — ale łożem ich jest bruk, schody wejściowe do kolejki podziemnej, kamienice nad brzegiem Sekwany i pod mostami.

I znowu przypadek zdarzył, żem zajrzał w głębię duszy najnieszczęśliwszej, w głębię duszy wydziedziczonych włóczęgów, pędzonych przez prawo, usymbolizowane w białej pałce.

W patronacie nad więźniami przeglądałem listy, zeznania spisywane przez tych, którzy opuścili więzienie. Nieraz drobne zdarzenia z ferm, z kopalni, z huty, były początkiem wielkich nieszczęść, opowieści o upadku człowieka, pełnego siły, młodości, który wyciąga mocne, zdrowe ręce po pracę, — a los łamie i spycha na dno. — Za drobne pobicie skazany na ileś miesięcy — ktoś przegrał w karty dokumenty osobiste, ktoś posądzony o kradzież.

W drugim pokoju usłyszałem — składaną, czy prawdziwą spowiedź z warsiawska: — do Polski wrócić nie mogę bom uciekł. Mam tam drzwi zamknięte, ale muszę wrócić — niedawno wyszedłem z więzienia po dwu latach — po 8 dniach miałem opuścić Francję — jestem bez pieniędzy, bez papierów, ściga mnie policja. — Potem szary piach słów — nagle kłótnia zakończona trzaskiem drzwi. Szybko wybiegłem. Sekretarz poinformował mnie krótko, jak i co. Ptaszek, kto wie skąd i jak. Niema papierów. Oberwał dwa lata, ma wydalenie. Siedział znowu. Wybiegłem po schodach. Na ulicy kisnął marcowy dzień, posiekany deszczem, trzęsący się z zimna pod ścianami. Na przodzie daleko człapał ów człowiek. Za chwilę zniknął u narożnika.

Opodal ogród luksemburski dyszał początkiem wiosny, omglonej zziębniętą zielenią, jakby słońcem, które w pogodny czas tu spoczęło, aby przetrwać szarugi. Pod bramą stał. — Poznałem. W szarym dniu w oczach rozpinał niebieskie polskie niebo..

— Warszawiak — krzyknąłem.

— Ja warsiawiak z Czerniakowskiej — oczy, usta, twarz ponuro zacięta, niemal każdy włos rozbłysnął i rozpromienił się od polskiego powitania.

I tak poznałem włóczęgę kryminalistę, — który przez wiele dni był mi towarzyszem aż do zaaresztowania go. Powiódł mnie w zaułki do knajp, do nor, do hal targowych, do piwnic, do przytułków — na brzeg Sekwany, pod mosty. —

Pamiętam ów dzień.

Sekwana niosła statki, które wydmuchiwały dym i trąbiły wieść o swoim przyjeździe i odjeździe. W rzece leżało odbicie katedry Notre-Dame.

Obok na nadbrzeżnym bruku sterty rumowiska, kilkanaście drzew. Tutaj rozwalały się oberwańcy, mając pod głową podłożoną cegłę. Nie istniał dla nich świat. Ktoś prał łachy i rozwieszał na patykach, ktoś pitrasił jedzenie na dymiącym piecyku, wyrastającym z bruku. Inni rozpostarli łachmany i rozdziawiali gębę do słońca. Przelatywał śmiech, strzelały żarty, z których gromada pękała.

— Dobrze im — wołał mój towarzysz — koks mają — niby chleb — barszcz też — no niby wino i kadryl — (kiszka krwawa) i grzeją się w słońcu, i co im więcej potrzeba.

— Handlarze przygód i awantur — ktoś z przechodniów nazwał gromadę bez troski rozwaloną na bruku.

Potem poszliśmy przez ulice spiętrzone wrzaskiem, przez zator aut łamanych białą pałką, skręciliśmy w brudne zaułki, w których kończył się handel szmat w szwargocie francusko - polsko - żydowskim i dobrnęliśmy do restauracyjki, jedynej może na świecie. Gałganiarze odbierali zapłatę i grzęźli w otwartych drzwiach, na których sążnisty napis głosił, że to handel z wszelkiego rodzaju jedzeniem, założony w tym a w tym roku.

Tu nasza traktyjernia — objaśnił mnie towarzysz — za tani grosz można mieć paradną wsuwę.

Weszliśmy.

Przez zakratowane okno przeciekało lepkie światło i okazywało wnętrze wielkiej izby. Na olbrzymim stole, zbitym z desek, stały miednice, pokrywy, michy, gary napełnione zieloną paćką, obrosłe pleśnią sterty jarzyn, pomieszanej fasoli z ziemniakami, marchewką, makaronem, kości ogryzione z kurcząt, królików, skórki sera, łebki ryb. Jednem słowem rozkładające się potrawy, pozmiatane z niedojedzonych talerzy, jakby wydłubane z zębów, wyplute z ust minionych dni.

Panował ruch, aż ciasno było.

Dziewczyna nabierała łychą tę pamułę, odważała dla wybrednych kosteczki z kurcząt, liczyła odebrane pieniądze i dopiero wtedy napełniała podsunięte naczynie.

Chytre francuzisko założył przedsiębiorstwo jedyne w swoim rodzaju, bo gdzie komu przyszłoby do głowy... Oto rano objeżdża wszystkie większe restauracje i od kucharzy kupuje to, co wczoraj niedojedzono, niejako to, co odpadnie od przeżartego pyska bogatego miasta. —

— Panby jadł?

— Za żadne skarby.

— Ja też nie — szybko stwierdził, a potem jakoś boleśnie dodał. — Ale pan chyba nigdy nie był głodny i nie wie co to prawdziwy głód.

Wychodzimy. Na schodach baby — megiery paluchami łapczywie wygarniały z puszek kupione żarcie. Spojrzałem na którąś a ta warknęła:

— Co ślepia wywalasz? — ty pewnie w restauracyjce — garsonne — zaczęła kręcić nosem, twarz wykrzywiać — to nie dobre — tamto nie smakuje. Daj pięć franek, to też pójdę — na bulwary, rozwalę się na aksamitach i z talerzyków będę żarła. —

Po drodze upominał mnię mój towarzysz.

— Niech pan uważa na kieszenie. Idziemy do naszego szynku. Nie gwarantuję. Bo to mogą się trafić rozmaite ludzie.

Wkrótce otwarły się drzwi narożnej kamienicy. Wnętrze brudnej knajpy zapchane dymem, ochrypłemi głosami, szwargotem różnokolorowych języków.

— Tu granda z całego świata. Każdy ma swój kąt. Polactwo też. A my jesteśmy najbardziej w poszanowaniu, bo boją się nas. Tutaj sami fachowcy — szyfonierzy — to jest gałganiarze, kumeciarze, jeden zbiera po ulicach, niedopałki, a inny kupuje hurtem kumety od tego, co zamiata restaurację, bo tutaj i w najlepszej knajpie na podłogę wypluwają niedopalonego papierosa.

Trzeba było przeciskać się przez zatłoczoną izbę pomiędzy stolikami. O tej porze był ruch największy, bo to wrócili z hall, z nocnych poszukiwań, żebracy z rogów ulic, ściągnęli też z wędrówek swoich włóczędzy, obrośnięci brudem i kudłami. Tęgo pili, serdecznie raczyli się, prawiąc sobie przyjacielstwa. Trwał handel wymienny. Najgwarniej było przy stoliku, gdzie polski szewc łatał chodaki, czyścił, farbował i czynił nowe. Ten chciał kupić, tamten sprzedać. Targowanie krzyk.

Obok płakał po pijanemu krawiec, naprawiający czapki, gdzieś zatracił igłę — a może mu ktoś ukradł. Śmiech zabrzmiał:

— Hu! hu! zgubił sobie cały warsztat za centima.

Szachrajstwa, drobne oszustwa. Sprzedaż kapeluszy, kołnierzy, bielizny, ubrań wywleczonych ze śmietników, zegarków cichcem przesuwanych z ręki do ręki. Ktoś kogoś oszukał. Kłótnia, skakanie sobie do ślepi. Spór załagodzony rozsądnym głosem.

Kto cię przymusza kupować. Ślepy w karty nie gra. Widziałeś co masz w rękach. Kupował dzieciak czy handlarz?

Z polskiego stołu zerwało się powitanie.

— Wicuś pchełka — toś jeszcze tu —

Ale te okrzyki stężały na mój widok. Podejrzliwym wzrokiem obrzucili mnie. Wicuś pochylił się ku niektórym, coś powiedział. Rozpogodziły się twarze i zaraz wyciągały się ręce z usprawiedliwieniem.

— Niech się pan nie dziwi, tutaj ludziska wyszczute, nie mają spokojnego miejsca ani w noc, ani w dzień. Przyłażą rozmaici, kręcą się też kapusie i za 20 franek kapują — to jest sprzedają policjantom takich, co mają wydalenie z Francji.

Wcisnąłem się w ciżbę, w tłok, i siedziałem długo pijąc razem z nimi. Gwar kipiał i przelewał się, a któryś w porywie całą swoją serdeczność wytrząsał z siebie. —

Wokoło gromadki murzynów, francuzów, włochów, rosjan, niemców, jednem słowem mieszanina międzynarodowa z Europy, Ameryki, Azji i Afryki. Drobne zdarzenia wystrzelały z dymu, z gwaru ku grozie zebranych, to ku zabawie. Obok szła gra w kości, obok w karty do ostatniego centima, do ostatniej koszuli. Z szulera bezwzględnie ściągali przegraną, pieniądze, buty, ubranie, do naga. Wygrywający daje nieszczęśnikowi 10 proc. przegranej, aby mógł sobie kupić łach na nagi grzbiet.

Ktoś komuś wygrażał. Wyskakiwały przekleństwa. Parę razy błysnął nóż, w mistrzowski sposób wytrącony z zaciśniętej ręki.

Przechodzą godziny. Czasem ostrzegające mignienie oczami.

— Kapuś! —

Opowiadają mi o obławach, które się dokonują w pewne noce. Przeczuwają kiedy to będzie i wtedy pustoszeją pobliskie knajpy, głównie w lecie — bo jakże siedzieć w kryminale, kiedy słońce grzeje. Co innego w zimie — to błogosławieństwo choć na pryczy wyciągnąć można kości, a nie na kamieniach, choć nad głową dach, a nie deszcz, nie mróz. W czasie obławy właściciel knajpy przemyka się pomiędzy zebranymi i tym, którzy zarobki przepijają ukradkiem podsuwa pięć franków. Kto bowiem ma papiery w porządku, a nie posiada owych pięciu franków jest aresztowany za włóczęgostwo, za wagabundaż.

O drugiej w nocy zamyka się knajpy. Służący budzili włóczęgów. Z nad stolików, z pod ław dźwigały się postaci, przerzucały worek przez ramię. Odrywały się nogi utrudzone od posadzki. Załomotały chodaki i ginęły za narożnikiem. Kto pijany, nie chce wyjść więc krótkie postępowanie — chwyt za nogi, za ręce i za drzwi. Wychodzący rozpadali się w gromadki, po dwóch, to pojedynczo, poszli w rozmaite strony za sprawami sobie wiadomemi. Łachmany ludzkie bez kształtu, bez twarzy, ciemne wizerunki nocy. Słychać było stukot sabotów, twardo bijących o kamienie, jakby spadający pot.

Podążyliśmy za gromadką.

W półmroku znać było żelazne drzwi zaryglowane. Usłyszałem głuchą opowieść o cudotwórczej norze.

— Tu była knajpeczka — uciecha. Kto miał więcej forsy, to dostawał kwartę wina, kawał ławy i siedząc mógł spać z łbem opartym na krawędzi stołu. Kto miał mniej forsy, to też pamiętali o nim. Od ściany do ściany szła lina miłosiernie owinięta szmatami. I na niej mogliśmy łeb opierać i stojąc spać. Rano gospodarz wyrywał linę z haka — i tak budził. Teraz zamknęli przed paru tygodniami.

Ostatni ów dobroczynny dom noclegowy.

Szkoda — należało tam otworzyć muzeum nędzy międzynarodowej. Jeszcze spojrzeliśmy ku rzece. Na schodach spadających ku Sekwanie, tuż przy plusku wody łachmaniły się kształty ciał, zrosłe z miłosiernym brukiem.

JAN WIKTOR

Gustaw Krklec

Współczesny poeta jugosłowiański

W chaosie prądów literackich, które zalały całą Jugosławję, tuż po wojnie światowej, w walce obozu „starszych“ z „młodszymi“, wziął wybitny udział ówczesny (r. 1919) redaktor zagrzebskiego czasopisma literackiego „Jurisz“ (atak) a zarazem jeden z najwybitniejszych przywódców „młodych“, poeta chorwacki, **Gustaw Krklec**. Działalność główna, poetycka, tego leadera młodej i najnowszej generacji poetów chorwackich, przypadła na rok mniej więcej 1923. Był to okres początkowy coraz gorszych stosunków ekonomicznych młodego państwa. Taki stan rzeczy pociągnął za sobą nieuchronną konsekwencję na polu rozwoju kulturalnego: szerokie masy społeczeństwa odsunęły się od książki — literatura rozpoczęła okres przesilenia.

W takich warunkach utrzymać się i przetrwać ten straszny kryzys mogło w literaturze tylko to, co było w niej dobrem i zdrowem. W powojennej zaś literaturze Jugosłowian ilościowo najpoważniej przedstawia się liryka. Jakąż była ta liryka w tych latach bezpośrednio po wojnie światowej? Lirykę tę cechują: głębokie ujmowanie problemu dyskretny motyw religijny i muzyka wiersza. Jest ona częścią całej literatury, — a literatura powojenna Jugosłowian skierowana była przeciw nacjonalizmowi, burżuazji, tradycji i przeciw literaturze naturalizmu i impresjonizmu. Literatura ta jest rewolucyjna. Prądami, które w niej nurtują, są: internacjonalizm i kosmologja, wskutek czego całą tę literaturę zalewają prądy obce, płynące z zachodu: ekspresjonizm, nadrealizm, prymitywizm i t. p. Wypłynęła zaś cała ta literatura z dwu głównych ruchów literackich: z futuryzmu i ekspresjonizmu. Propagatorem tego ostatniego był jakiś czas Gustaw Krklec (jako redaktor czasopisma „Juriśz“).

Pisząc przedmowę do wydania swoich „Poezyj zebranych“, powiedział Krklec o sobie: „Dzisiaj — mogę to śmiało powiedzieć — między mną i tą moją poezją tkwi tak wielki odstęp, że nawet odważyłbym się spojrzeć na nią, spojrzeć bez związku ze sobą samym, który to piszę, jeśli to jest wogóle możliwe w jednej sferze twórczości i ewolucji“. — Istotnie, dzisiejszy Krklec, sekretarz Giełdy w Beogradzie, wesoły i beztroski kompan, patrzący na świat realnie i po kupiecku, niczem nie przypomina siebie, jako autora dwu tomów poezyj wyśpiewanych przed kilku, czy kilkunastu laty.

Nie należał Krklec nigdy do jakiejś szkoły literackiej, ani sam takiej szkoły nie stworzył. W początku twórczości poetyckiej rozpalił się przed nim płomień ekspresjonizmu, lecz płomień ten szybko zgasł i głębszych piętn na konstrukcji poety nie wycisnął. Poezja jego była jego wyłączną własnością, w niej spoczęło jego jedyne, prawdziwe życie przed kilkunastu laty. Poezja jego była „długim szeregiem jego najintymniejszych, wewnętrznych manifestacyj lirycznych“ była światem szybko zapadłych przebłysków, przelewów, podniet, przeżyć i wyrazów, była splotem, łańcuchem nikromaterjalizacji jego myśli, uczuć i współczuć. I jego zmysłów. Poezja Krkleca jest poezją mikrokosmiczną z właściwym poecie wyrazem: poeta patrzy na świat oczyma dziecka lub sercem dziewczęcia z dziecinną i dziewczęcą naiwnością. Jak rzadko który poeta, trzymał się Krklec jednej linji. Od jednego zbiorku ogłoszonych poezyj do drugiego stwierdza się tylko nowe etapy tej samej wędrówki. Przez całą jego lirykę przewija się pogodzenie się z zagadkami, jakie nam stawia życie. W miarę rodzenia się nowych poezyj, problem ten dojrzewa przekształcając się w pewien całkowity pogląd na świat. Wszystko przedstawia się w formie lirycznie uproszczonej. Wszystko zaś, co się dzieje współcześnie, cała nowa era jest złudzeniem. Oto jak tę nową erę przedstawia poeta:

„Złudzeniem głupiem, mrą nasze serca,
Niebieskich świateł już gaśnie noc —
Dziecko się szybko przemienia w starca,
Cały świat w czarną się stacza noc.

Złowróżbne krzyki straszą nas sowie,
Wojennym ogniem Los grozi — krzyk.
Jakby w strzeleckim żyjemy rowie,
Zapał nam męski już z piersi znikł.

Lecz dokąd z siebie? Milcz, zbieraj siły
Do wojny z jawą i grozą chmur.
Otrząś się ze snów, co cię opiły,
Uderz i rozbij swą głową mur!“

Tak pojęte, życie jest jednym snem, z którego trzeba się ocknąć — bo zewsząd coś grozi. Lecz czyż do tego zdolne jest współczesne pokolenie — czy zdolni są ci współcześnie niewspółcześni do czynu? czy oni mogą otrząść się ze snu, czy mogą „wyjść z siebie“, czy zdolni są do rozbicia muru zagradzającego im drogę do przyszłości własną głową? Jacyż są ci dzisiejsi, lecz nie współcześni?

„Już rumiane nasze słońca
zgasły nam od wielu dni,
Już z nas pustką, próżnią drwi
To, co ongiś było żywe;
poszarzało
To, co było
dawniej sławne, błyskotliwe.

My bez Boga i bez łoża
— Dokąd iść nam z tym żywotem?
Oby nas gdzieś bodaj zorza
Kiedyś martwych już znalazła
gdzieś, pod zapomnianym płotem!

Oto, jakimi są „niewspółcześni“ choć dziś żyjący! Lecz w tej strasznej i beznadziejnej depresji, jaka przytłacza tych „niewspółczesnych“ tkwi jedno wielkie pożądanie: pożądanie życia. I ta chęć życia jest w poezji Krkleca zawsze tak wielka, że nawet śmierć nie jest powodem, by rozum drżał z obawy i żeby duch cierpiał, gdyż sama chęć życia posiada swój własny sens, jako warunek do nowych rodzeń, do przedłużania życia, do wieczności. Cała zresztą liryka Krkleca nie jest niczem innem, jak tylko jedną wielką ekstazą życia.

Pozą ukochaniem życia jest jeszcze jego poezja ukochaniem przyrody, która stanie się dla niego, kiedyś, jedynym przytułkiem. Poetów, którzyby przyrodę odczuwali tak, jak Krklec, którzyby ją odczuwali jako naczelne piękno życia, mało jest nietylko w jugosłowiańskiej, ale i w powszechnej literaturze. Miłość Krkleca do przyrody przejawiająca się w dyskretnej, a gorącej miłości do materjalnego piękna pejzażu, do konkretnego obrazu — nie jest panteizmem. Każdy jego obrazek przyrody, to „jeden motyw — jedna barwa, jedna woń lub szelest, jeden ruch“.

Krklec nigdy nie chciał śpiewać ani ptakom, ani stworzeniom, ni drzewom, ni falom morskim — on chciał śpiewać i śpiewał tylko sercu człowieka. A kiedy zdarzało się, że go to serce niezrozumiało, szukał innego tonu i dźwięku dla serca ludkiego bardziej zrozumiałego.

Dzisiaj porzucił Gustaw Krklec poezję, zamienił wiersz na liczbę, i polot poetycki zamknął w ramach spekulacji giełdowej, z redaktora organu literackiego „młodych“ stał się redaktorem sprawozdań giełdowych, — lecz poezji swojej Krklec się nie zaparł. Poezja stała się dla niego i pozostanie na zawsze pewną — może skromną ale osiągalną — c z ą s t k ą j e g o s a m e g o t a k i e g o, jakim był wtedy, kiedy najbardziej zbliżył się do tego, co jest nieosiągalne i niezmierzone.

S. P.

Ulice Bliskiego Wschodu

Kiedy przybywamy do jakiegoś nieznanego miasta, wówczas jedynym wskaźnikiem informującym nas o jego wielkości, życiu, czy obyczajach mieszkańców — jest ulica. Co więcej, ulica to wykładnik potęgowy poszczególnych miast, to najlepsza tablica informacyjna, z której wytrawny włóczęga potrafi dowiedzieć się wszystkiego bez potrzeby uciekania się do Bedeckera, czy innego przewodnika.

Co kraj, a raczej co miasto to inny wygląd, inne tempo ruchu ulicy. Nic bowiem nie potrafi lepiej charakteryzować Paryża, jak jego bulwary i ulice, przypominające rzeki w czasie powodzi, wypełnione ludźmi, rozśpiewane piosenką wędrownych muzykantów. Ale obecnie jednak istnieje już pewien standart dla wielkomiejskich ulic. Chicago, Berlin, Amsterdam czy Budapeszt — to te same twarze, ubiory, witryny sklepowe i marki samochodów.

Z tego szablonu wyłamuje się Bałkan i jego rozkrzyczane przedziwnym gwarem ulice Stambułu, Sofji, Beogradu, Thessaloniki, czy Bukaresztu. Ulica na Bałkanie pozostała niemal taką jak była. Nic nie zmienia faktu, iż istnieją tam świetne asfaltowe jezdnie, po których pomykają te same samochody co na Zachodzie. Pozostało bez zmian oblicze ulicy:

Życie w ciepłym klimacie pod promieniami dobroczynnego słońca, zmusza ludzi do spędzania większej części swego życia na ulicy. Instytucja domu, ciesząca się pełnią poszanowania, nie wyklucza tego zupełnie. Przez cały niemal czas doby, z wyjątkiem południowej siesty, kiedy pustoszeją ulice, a banki, sklepy, czy instytucje zamykają swe podwoje, — ulica tętni życiem.

Bulwary, cieniste parki, wraz z rozsiadłemi na chodnikach „bodegami“ i „cafanami“ są pełne ludzi. Równocześnie jednak ulica Bałkanu, to miejsca największych kontrastów, jakie tylko można sobie wyobrazić, gdzie opodal wspaniałej nowoczesnej kamienicy, wystawionej olbrzymiemi oknami wprost do słońca, wyrasta mały domek parterowy kryty gontami, lub papą, gdzie dalej obok wspaniałego „Cadillaca“, czy „Lincolna“ godnego oprawy lasku Bulońskiego, czy Promenade des Anglais, przelatującego przez ulice bezszelestnie, toczy się z chrzęstem i hałasem dwukołowy wóz, ciągnięty przez siwe, rosochate woły, poganiane przez wieśniaka w narodowym stroju. — Siła rzeczy olbrzymie tłumy przechodniów musiały ściągnąć na ulice całe rzesze sprzedawców, przekupniów, czy handlarzy, dźwigających swój towar przed sobą, lub rozsiadających się na chodniku tuż popod domami.

Na drewnianych pałąkach, podobnych do rosyjskich „chołobli“, do których przyczepione są drewniane tace, lub koszyki chodzą, obwołując krzykliwie i przeciągle handlarze jarzyn, zimnego mleka, owoców, lub słodyczy.

Rolę wędrujących kawiarni, sprzedających nieodzowny napój przy wszystkich interesach handlowych, sprawach, zatargach, czy zawieranych zgodach: czarną kawę po turecku t. j. nalewaną do małych filiżaneczek wraz ze zmielonym miałem kawowym, — spełniają handlarze, dźwigający na swych plecach wielkie mosiężne naczynia.

Nieodzownemi akcesorjami bałkańskiej ulicy są czyściciele butów. Jest rzeczą ciekawą, że Turek, Bułgar, czy Rumun, mogący mieć na sobie nawet stare, lub podarte ubranie, pragnie mieć zawsze lśniące od pasty buty. Pod tym względem specjalnie wyróżnia się Sofja, gdzie na ulicach, czy zaułkach siedzą całe gromady „pucybutów“ w narodowych strojach, posiadających skrzynki, zawierające wszystkie przybory do czyszczenia butów, obite mosiężną blachą, przedziwnie tłoczona w rozmaite wzory i desenie.

Nigdzie poza Włochami i Paryżem, nie widzi się tylu handlarek kwiatów, co w tej części Europy. Orgje form, barw i zapachów widzi się na każdym kroku. Olbrzymie snopy żółtych tulipanów, róż, konwalij, bzów; czy irysów wyrastają z koszów i straganów. Kwiat stanowi tu niemal nieodłączną potrzebę życia. Mężczyźni, kobiety, dzieci, idą ulicami objuczeni snopami kwiatów, rozjaśniającemi mieszkania.

Lecz tylu wrażeń co targowice i hale, nie mogą dać najruchliwsze nawet ulice. Już z daleka słyszy się wielki gwar jakby wiecującego tłumu. Co krok niemal widzi się coś zatrzymującego nas w podziwie. Stosy garnków, jaskrawych materyj, owoców, mięsa, jarzyn; czy sprzętów gospodarskich, — tworzą dekorację. Przekupnie krzykliwemi zachętami, a czasem nawet siłą przyciągają przechodniów do swych straganów, czy ciemnych czeluści sklepowych. A wszelkie interesy kończą się w malutkich „bodegach“, gdzie pije się cienkie wino z małych flaszeczek, zastępujących kieliszki. Widziana z góry targowica przedstawia się, niczem kotłujące się mrowisko, upstrzone baraniemi czapami, chustkami kobiecemi, czerwonemi fezami, czy wreszcie macedońskiemi czapeczkami.

Wszystko jedno, gdzie jesteśmy w Plovdiv, Perze, Mostarze, Koryncie, lub Jassach; czy na którejś niezupełnie zeuropeizowanej ulicy stolic państw bałkańskich, — wszędzie zobaczymy zgiełk, ruch i kotłowiska ludzi, nad któremi unosi się rozgwar krzykliwych rozmów południowych ludzi.

I nic nie pomogą ukazy srogiego Kemal Paszy, znoszące zwyczaj noszenia fezów, lub coraz to większa ilość europejskich ubrań. W miastach i miasteczkach bałkańskich, pozostaną one bez zmian, gdyż ich charakteru, który przetrwał tyle wieków nie zdoła już nic zmienić.

j. rad.

Hiszpańscy palacze i palaczki

23-miljonowa ludność Hiszpanji przepala rocznie 360 miljonów zł, a konsumcja ta jeszcze rośnie, szczególnie pośród kobiet, które obecnie palą na ulicy i w miejscach publicznych — do niedawna uchodziło to za rzecz nieobyczajną. W maju r. 1932 wypalono w Hiszpanji tytoniu za 25.200.000 zł, w maju 1933 za 30 miljonów.

Hiszpanja rości sobie pretensje do tego, że pierwsza wprowadziła tytoń do Europy. Miał to zrobić Don Rodrigo de Jerez, którego inkwizycja przez 10 lat trzymała w więzieniu za jego „występną praktykę“. W r. 1930 Hiszpańska Spółka Tytoniowa umieściła tablicę pamiątkową na domu w Ayamonte, gdzie mieszkał Don Rodrigo.